

Wojenny szpital polowy w Zamku

Moja mama była lekarzem. Po wyzwoleniu w 1945 roku, po 23. lutego, moja mama została zwinęta, że tak powiem, przez patrol rosyjski, w pobliżu Opery i przetransportowana tu, do Zamku. Dlaczego? Matka była lekarzem, znała język rosyjski. Jak ci usłyszeli, że jest lekarz, to od razu wzięli ją tu. To, co w tej chwili powiem, miałem okazję kilka razy słyszeć, kiedy mama opowiadała to znajomym. Dzieliła się tym ze znajomymi. Potem moja ciekawość spowodowała, że mnie to jeszcze raz szczegółowo zrelacjonowała. Tu, w podziemiach Zamku, a to był marzec 1945 roku, był niemiecki lazaret, gdzie ranni i chorzy jeńcy niemieccy egzystowali w bardzo trudnych warunkach. Mama była tutaj przez 48 godzin, potem ją wypuścili. W podziemiach nie było oświetlenia elektrycznego. Były tylko lampy naftowe. Warunki, w których ci ranni przebywali były straszne. Zapach, przepraszam, powiem – smród normalny. Natomiast mamę uderzyła jedna rzecz – organizacja. W każdym większym pomieszczeniu znajdował się ktoś, kto pełnił rolę dowódcy. Ktoś, kto natychmiast po pojawieniu się osób z zewnątrz meldował – stan, ile osób, kto zmarł, ilu nieprzytomnych. Tak w kilku pomieszczeniach, w których to wszystko miało miejsce. Tu w podziemiach, oprócz rannych Niemców, byli sanitariusze niemieccy w fartuchach. Była jedna pielęgniarka rosyjska i był polski chirurg, który nieustannie był zajęty. Zmieniał opatrunki, badał. Prawdopodobnie usiłował wykonywać jakieś zabiegi, ale warunki tutaj były wyjątkowo niesprzyjające. Mama była tutaj przetrzymywana przez 48 godzin. Dostała wyżywienie proste, takie samo jak jeńcy niemieccy. Mogła położyć się na jakimś legowisku, które zostało jej wskazane. Nie wśród jeńców, ale gdzieś z boku. Tak to trwało przez 48 godzin. Dostała zaświadczenie, że tutaj była. Zresztą sama je wymogła, bo potrzebowała na usprawiedliwienie, bo pracowała już. No i tak to wyglądało.